Kraków, 29-go Sierpnia 1908 r.

Rok 4. Nr. 18.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 35 „Prawdy."

Polowanie na Węże.

Pewien podróżny, zwiedzając Afrykę północną, miał sposobność wzięcia udziału w polowaniu na węże jadowite. Polowanie to jednak nie miało wcale na celu tępienia tych niebezpiecznych płazów, jakby się każdemu z nas zdawało. Bynajmniej. Kabylom *) miejscowym chodzi przeciwnie o ujęcie pewnej ilości wężów, które później oswajają i uczą rozmaitych sztuk. Ludność bowiem miejscowa bywa nader ciekawą tego rodzaju przedstawień i chętnie przygląda się, jak owe straszne stworzenia z dokładnością wykonywają rozmaite ruchy na rozkaz poskromiciela.

Objaśnić musimy w tem miejscu, że przedstawienia te nie są tak bardzo niebezpieczne, gdyż pogromcy wyrywają poprzednio wężowi dwa wielkie zęby, w których mieści się jad. Wąż więc może ugryść boleśnie, ale nie śmiertelnie. Trzeba tylko operacyę wyrywania powtarzać od czasu do czasu, gdyż zęby te odrastają.

A teraz posłuchajmy opowiadania podróżnego.

Polowanie odbywa się w nocy, wśród gór, gdzie kryją się węże. Trzydziestu Kabylów brało w niem udział. Zanim zaczęli obławę, modlili się po swojemu, rękami rozmachując. Wódz rozdzielił myśliwych na dwie partye.

W pierwszym rzędzie idą dwójkami właściwi łowcy. W każdej dwójce jeden człowiek ma kije w obu rękach,

*) Arabowie, zamieszkujący górzyste wybrzeże Afryki zwane Kabylią.

drugi zaś niesie w prawej ręce pochodnię, lewą obwija starannie fałdami burnusa.

W drugim rzędzie kroczą pomocnicy obładowani skórzanemi worami, w które zbierać będą zdobycz.

Sześciu muzykantów z fletami i bębnami zamyka pochód.

Zaledwie ruszyliśmy ścieżką wiodącą na szczyt góry, gdy muzykanci zaczęli grać bardzo hałaśliwie, lecz niemiłosiernie fałszywie. Wnet też i łowcy pochodniami zaczęli oświetlać zarośla i kijami je przetrząsać.

Od czasu do czasu ostry świst przerywał fałszywe granie; to wąż wyskakiwał z krzaków. Dreszcz mnie przechodził mimowoli, ale myśliwy z pochodnią ścigał spłoszonego węża, który rozdrażniony, rzucał się na wyciągniętą rękę, obwiniętą w burnus. Zęby więzły w fałdach grubej wełnianej materyi, a drugi łowiec uderzał kijem po głowie gada.

To uderzenie obezwładniało węża, którego straszne zęby, po odpowiedniem szarpnięciu, pozostawały w burnusie. Zdobycz kładziono wtedy do skórzanego worka.

Wkrótce po rozpoczęciu polowania, przyłączyła się do orszaku osobliwa postać. Była to stara kobieta, od stóp do głowy okryta błękitną szatą, za nią szedł mały chłopak, niosąc w ręku skrzynkę. Kobieta miała brwi krzaczaste, małe czarne i świdrujące oczy. Spiczasty nos pochylał się ku równie spiczastej brodzie, słowem istna czarownica z bajki!

Kobieta w milczeniu szła za nami.

Po kilku godzinach myśliwi zakończyli polowanie, bardzo pomyślne, jak mówili. Wtedy kobieta podeszła do wodza, znać ją musiał, bo kiwnął jej głową na przywitanie, poczem kazał pozbierać z burnusów zahaczone o nie zęby.

Dowiedziałem się od towarzyszy, że nieznajoma skupuje zęby jadowitych wężów, ponieważ zajmuje się czarami, a owe zęby mają posiadać różne lecznicze i tajemnicze właściwości.

Myśliwi niechętnie patrzyli na czarownicę, bali się złego uroku, jaki, ich zdaniem, rzucić mogła.

Nagle usłyszeliśmy krzyk. Jakiś wąż niespodzianie wypełznął z krzaków i ukąsił w rękę jednego z myśliwych. Towarzysze natychmiast pospieszyli z pomocą. Dwóch na zmianę wysysało ranę, inni zbierali zioło, które ugnietli i przyłożyli do rany. Ukąszony Arab z całym spokojem poddawał się leczeniu. Wiedział że jest skuteczne.

Czarownica tymczasem odeszła, a za nią posypały się ciche przekleństwa. Może to ona, jej zły urok wywołał z krzaków węża i kazał mu ukąsić jednego z myśliwych, szeptali pod nosem.

— A teraz w drogę! — zawołał wódz i cała gromada ruszyła w stronę wioski, zamieszkałej głównie przez tak zwanych czarodziejów, którzy umieją nietylko oswajać węże, lecz uczą je różnych sztuk.

Węże są bardzo czułe na muzykę, lecz tylko łagodną, tańczą przy dźwiękach fletów, wykręcając na wszystkie strony giętkie swe ciało; na rozkaz czarodzieja otaczają go pierścieniem w pasie lub wreszcie układają mu się na głowie w kształcie turbanu, na którym wydłużona szyja wężowa tworzy rodzaj ruchliwej kity.

Przedstawienia z wężami ściągają licznych widzów, którzy żywią wielką cześć dla pogromców, polowania zaś na węże ułatwiły uczonym przyrodnikom europejskim poznanie i zbadanie wielu niebezpiecznych gatunków tych płazów.

W Indyach, przy ujściach rzeki Gangesu, połów węży odbywa się w inny sposób, a ma na celu zaopatrywanie menażeryi i muzeów europejskich. Na wielkich przestrzeniach zapalają Indusi trawy, a wystraszone płazy, uciekając przed ogniem, wpadają w zastawione sieci. Następnie przywiązują węże do grubych kijów bambusowych, lub też zamykają do skrzyń i odsyłają do Europy.

DO CELU.

Co wieczór chłopcy zbierali się na placu i urządzali zabawę. Tym razem rzucali kamienie do wróbli. Pta

ków była moc. Zlatywały się zewsząd, aby pozbierać ziarna.

— No, chłopaki — woła Wacek, kto trafi dziś do wróbla, ten będzie zwycięscą.

— Dobrze! — krzyczy ktoś zdaleka — podniesiemy go w górę i będziemy wołać: „Niech żyje!“

Posypały się wnet kamienie ze wszystkich stron. Ale trafić do celu jest bardzo trudno.

— Żeby mi się to choć raz w życiu trafiło zabić wróbla, tobym się cieszył — myśli Bolek i celuje, a uderzenie było tak trafne, że ptaszek padł na miejscu,

— Trafił! brawo! — woła Oleś — Kto zabił?

— Bolek! Bolek! — wołają chłopcy. — Brawo! Bolek zwycięsca!

Bolek zbliżył się do zabitego ptaszka i naraz ogarnął go strach niewypowiedziany.

— Zabójcą jestem — pomyślał sobie.

Wróbel leżał na bruku z wyciągniętymi łapkami.

— Do góry Bolka, do góry zwycięscę! — krzyczą chłopcy i zbliżają się do Bolka, aby go podrzucić.

Ale chłopiec odtrącił towarzyszów.

— Dajcie mi spokoj — dosyć mamy zabawy!

Spojrzał raz jeszcze na nieżywego ptaszka i poszedł do domu.

— Zbrodniarz ze mnie, nie zwycięsca! — pomyślał.

— Nie chcesz, to nie trzeba! — wołał Władek — obejdzie się i bez ciebie. Chłopcy zabierajmy się do roboty. Kto pierwszy trafi w ptaka.

— O, o mało com nie zabił — wołał ktoś zdaleka. — Zaraz go położę.

Ale Bolek już tych krzyków nie słuchał.

Wrócił do domu, chciał zająć się czem innem, ale obraz martwego wróbla stał mu ciągle przed oczyma.

— Jakto okrutnie zabić kogoś — myślał wciąż. — I ten biedny wróbel już nie żyje!... A nie żyje przez naszą swawolę.

Chciwy dwa razy traci.

I.



Na podwieczorek Anulka mała
W miseczkę mleka trochę dostała.

II.



Mruczek się do niej śmiało przymyka
Lecz go przyjęcie liche spotyka.

III



Nie myśli jednak smakiem się obyć:
Wspiął się, by mleczka choć trochę zdobyć.

IV.



Za to Anulka chciwa nad miarę
Kopnęła kotka w brzuszek za karę.

V.



Lecz ach! zbyt silny cios wymierzyła
Aż się wraz z miską wznak przewróciła.

VI.



A kot czemprędzej mleczko połyka.
Taka to chciwość kara spotyka.

Mimowolna podróż w powietrze.

W francuskiem mieście Nan puszczano wielki balon. Tłum ludzi oczekiwał z niecierpliwością na ciekawe widowisko. Już prawie wszystko było gotowe, gdy nagle pękły sznury, przytrzymujące balon, i ten wzniósł się nieco w górę, ciągnąc za sobą po bruku łódkę, jednym końcem dopiero przymocowaną, wraz z przywiązaną do niej kotwicą. Trzeba zdarzenia, że kotwica zaczepiła za spodnie dwunastoletniego chłopca, ucznia kołodziejskiego, który właśnie przechodził ulicą. Zahaczony znienacka, chłopak uchwycił się oburącz liny i tak uniesiony został w powietrze.

Z przerażeniem patrzyli wszyscy na ten szczególny wypadek, który lada chwila mógł się skończyć śmiercią chłopca. Na szczęście jednak, balon, przeleciawszy ponad miastem, zaczął powoli opadać — i chłopak wyszedł cało i zdrowo z tej niespodzianej przygody.

Gdy odprowadzono go do matki, opowiadał o wrażeniach, jakich doznawał w tej mimowolnej podróży. W pierwszej chwili, gdy zrozumiał już, jakie grozi mu niebezpieczeństwo, zaczął modlić się do Boga, najpierw za swą małą siostrę, a potem — za siebie. Później wołał głośno o pomoc. Dopiero rzuciwszy okiem na ziemię, zrozumiał dobrze swoje położenie. Widział wyraźnie tłum ludzi, który biegł w kierunku lotu balonu. O śmierci nie myślał; bał się jednak, żeby czasem nie spaść na dach jakiego domu — już wolałby wpaść w rzekę... Mówił, że domy i całe miasto wydały mu się maleńkie jak zabawki. Gdy spostrzegł, że balon się zniża, odwaga wstąpiła weń na nowo: zaczął wołać na pomoc ludzi, stożących siano. Nadbiegło dwóch kosiarzy i jeden chwycił go w objęcia. — Powiadają, że potem wypadku zdrowie owego mimowolnego żeglarza powietrznego nie ucierpiało bynajmniej; tylko przez kilka pierwszych nocy sen miał bardzo niespokojny: śniło mu się, że został porwany przez balon, i przez sen wzywał na pomoc swej matki.